

## Ich troje

Synu, weźże wbij na fest tego hufnala, bo jak mi patelnia zleci na fajerkę, będzie olaboga. Ten hufnal żelazny, starej daty, z kuźni w Kreševie czy Varešu, kto to wie, przeżarty rdzą, a jednak, zobacz, wykuty lepiej niż wszystkie szwabskie gwoździe z importu, co to się wykrzywiają, jak tylko człowiek lekko w nie puknie. Tak raz powiedziała mi matka.

Odkąd pamiętam, sterczał ze ściany nad kuchnią. Nie wbił go ani ojciec, ani dziadek Marko, któremu zawdzięczam imię. Hufnal był starszy od wszystkich, nic więc dziwnego, że się poluzował.

Weźże, synu, z kanciapy solidny młotek, a jeśli nie ma, zapytaj pana Jeftanovicia, i wbij ten gwóźdź, byle porządnie, bo jak mi patelnia rymsnie na kuchnię, będzie źle, powtórzyła jakiś czas później.

Mówiła tak przynajmniej raz w tygodniu, od wiosny do jesieni, jak litanię. W ten sposób rozmawialiśmy, ona prosiła, ja słuchałem. Przyzwyczajiliśmy się. Oboje

wiedzieliśmy, że nie pójdę do kanciapy po młotek ani nie poproszę o niego pana Jeftanowicia, nie wbiję raz już wbi tego gwoździa i nic się nie zmieni aż do następnej „rozmowy”, kiedy moja o siedem dni starsza matka znów powie: Marko, synu, weź młotek z kanciapy, a jak go tam nie ma, zapytaj pana Jeftanowicia, i wbij mi tego hufnała, bo jak mi patelnia gruchnie, pożar będzie na cały świat.

I wtedy w świętą niedzielę zdarzyło się to, co się zdarzyło.

Stałem sobie pod oknem i spokojnie oddychałem, myśląc o tym, jak to fajnie jest oddychać, gdy nagle huk – coś runęło.

Ciszę rozdarł ostry, metaliczny łoskot. Patelnia! Przez myśl przemknęły mi wszystkie te sytuacje, a były ich setki, kiedy matula mówiła, żebym znalazł młotek i wbił ob-luzowany gwóźdź.

Zszedłem do kuchni, ale ona, to znaczy patelnia, wisiała jak zawsze. Matki nie było, poszła na rynek i jeszcze nie wróciła.

W pierwszej chwili „uff”, poczułem ulgę.

A potem zwątpiłem, bo skoro to nie patelnia, musiało stać się coś o wiele gorszego. Właśnie tak pomyślałem – coś o wiele gorszego – sam nie wiem dlaczego. Skwaszony zacząłem wypatrywać matki i siostry.

Kiedy huknęło, mijałam akurat katedrę. Czasem Marko wyrывa mnie z lektury kłaśnięciem w dłoń i okrzykiem: komar!, taki to był dźwięk. Niezbyt głośny. Ale wcześniej, gdy za autem arcyksięcia wybuchł granat, też nie przypominało to eksplozji. Stałam na Wybrzeżu Appela, sto metrów dalej, i usłyszałam coś, jakby gdzieś w biurze oberwała się półka z dokumentami. Gimnazjalista w okularkach, który przystanął obok, powiedział: Poszła guma

w kabrio! Chyba tylko po to, żeby się popisać, bo przecież nikt nie wiedział, o jaką gumę chodzi i co to jest kabrio. Potem ktoś krzyknął, że w księcia rzucili granatem. Okularnika już nie było. Ulotnił się jak kamfora.

W końcu też sobie poszłam. Miało być przyjemnie, a ze wszystkich stron nacierali żandarmi. Nie wiedziałam, co zrobić z żółto-czarnym proporczykiem, więc go zwinęłam i schowałam do torby. Świat sposepniał i spochmurniał, jakby w biały dzień nagle zapadł zmrok, i to nie byle jaki, tylko najciemniejszy z ciemnych, noc bez gwiazd i latarni.

Tak, chciałam zobaczyć arcyksięcia i księżną, chciałam świętować ich przyjazd, wołać: Austria, Austria, żeby mnie dostrzegli. Wydawało mi się, że trzeba ich przyjąć z honorami, inaczej będzie wstyd. Przecież Sarajewo należy im się tak samo jak nam. Dlaczego więc mielibyśmy ich nie witać? Dlaczego miałabym nie machać czarno-żółtym proporczykiem? Dlatego że jesteśmy Serbami i modlimy się nie w katedrze, tylko w cerkwi na Varošu? Nie rozumiem. Kiedy Marko zapytał, czy ma wywiesić na sklepie cesarską flagę, już wiedziałam, że coś się święci. Od zeszłej wiosny, czyli od śmierci ojca, ani razu nie prosił mnie o radę w sprawach pozadomowych. Z takimi rzeczami ponoć nie chodzi się do kobiet. Mój brat nie ma w sobie męskiej buty, ale i tak nie pytał. Aż do wtedy. Marko, a skąd ja mogę wiedzieć, czy powinieneś wywiesić flagę? Zwróć się do matki, jeśli już musisz, odparłam. Pytałem. I co? Popatrz po innych sklepach, jak inni wywieszają, wywieś i ty, a jak nie wywieszają, nie wywieszaj, powiedziała. I co zrobiłeś? Posłuchałem jej. Patrzyłem na innych, a inni patrzyli na mnie. I bądź tu mądry!

Flaga utknęła zatem w martwym punkcie, a ja nie wracałam już do niej. Spieszyłam się do pary książęcej.

Czułam się, jakbym wybierała się na bal, a tylko wyszłam na głupią gęś. O mały włos bym się tam rozpląkała. Wtedy wyrósł przede mną Toni.

Serce waliło mi jak oszalałe. Nie żebym się wystraszył, no może trochę, ale inaczej niż zwykle. Czegoś takiego nie doświadczyłem nigdy wcześniej. Spietrałem się, że wezmą mnie za jednego z nich. Nie chciałem wyjść na spiskowca, zamachowca, anarchistę czy innego rewolucjonistę. Miałem wrażenie, że tkwię w jakimś koszmarze, jakbym zabił kogoś w jednym śnie, a w drugim uciekał przed pościgiem. W wyobraźni biegłem więc, odwracając się za siebie i patrząc, czy nie idą za mną tajniacy. Byłem na Wybrzeżu Appela, kiedy z Miljacki wyciągali Čabrinovicia. Robotnik, łamacz, znam go z widzenia, trzymał z moimi szkolnymi kolegami. Twarz miał we krwi, prowadzony przez dwóch mundurowych słał się na nogach. Poznał mnie. Dobrze wiedział, kto przed nim stoi: Anton Šlejer z Dużego Gimnazjum, szósta B. Przeszło mi przez głowę, że jeśli krzyknie: On jest ze mną, razem szykowaliśmy zamach! albo nic nie powie, tylko dalej będzie wymownie patrzeć, to policjanci pomyślą, że jesteśmy współnikami.

Dlatego wziąłem nogi za pas. Nie biegłem, lecz przyspieszyłem kroku. Gryzło mnie sumienie, jakbym to ja rzucił granatem w Jego Wysokość. W duchu udowadniałem swoje alibi przed śledczymi, odpowiadałem na ich pytania... Pochłonęło mnie to bez reszty.

Aż nagle, przechodząc przez ulicę przy łaźni miejskiej, natknąłem się na Mareę, siostrę Marka Besarovicia, tego, co w čaršii ma sklep kolonialny. Wcześniej jego ojciec – świeć, Panie, nad jego duszą – prowadził zakład futrzarski, a kiedy umarł, Marko urządził tam sklep. Nie miał wyjścia, przecież ni w ząb nie rozumie się na tym fachu.

Sąsiedzi pomstowali, że kto to widział zrywać rodzinną tradycję i w zagłębiu kuśnierskim otwierać sklep kolonialny, ostatecznie jednak się przyzwyczaili. Czas robi swoje. Chwała Bogu, epoka turecka minęła bezpowrotnie.

Tak naprawdę mówię o zakładzie i sklepie Besarowiciów tylko po to, żeby uciec od najważniejszego. Ale uciec się nie da, prędzej czy później oliwa i tak wypłynie na wierzch. Dlatego powiem prawdę: gapilem się na Marę, bo się w niej zakochałem. Nie, nie wtedy, wcześniej, jeszcze kiedy żył ich ojciec Stevan, a Marko chodził do gimnazjum.

Koło pierwszej ktoś przebiegł przez čaršiję, krzyząc: Zabili, zabili Ferdynanda! Niech ich szlag trafi, pogan! Nie wiedziałem, co znaczą „poganie”, ale aż ścisnęło mnie w piersiach od tych słów. Wprawdzie już wcześniej pisały o tym gazety i ludzie gadali, że prawosławnym Serbom nie w smak jest przyjazd arcyksięcia do Sarajewa, choć nie bardzo się tym przejmowałem, jak większość. Miasto było podzielone od dawna: jedni za, drudzy przeciw. Zawsze tak jest. Jak jedni są za, to drudzy są przeciw, i odwrotnie. Zmieniają się miejscami jak w korowodzie. Tak wygląda polityka, wszędzie. Starszym to przeszkadza, dlatego z tęsknotą wracają do czasów tureckich, kiedy na čaršii nie było żadnej polityki. Młodych z kolei ponosi, skaczą sobie do gardeł, dyskutują żarliwie.

Nasz ojciec zawsze powtarzał: Dobre jest to, co służy pracy. I nigdy nie zajmował stanowiska. Bo po co? Dawał na Cerkiew, płacił podatek cesarski. Ale gdyby ktoś go zapytał, czy jest za czy przeciw Habsburgom, za czy przeciw Turkom, nie umiałby odpowiedzieć. Ja jestem od kożuchów, które można nosić tak i siak, nie mają podszewki jak zwykły płaszcz, tylko dwie różne, choć równie piękne prawe strony, mawiał. Taki był nasz ojciec, futrzarz całą gębą.